

Ekstremalna Droga Krzyżowa dla Mężczyzn 2023 – Starogard Gdański

Wstęp

X. Marcin Ruszkowski:

Szczęść Boże,

To już nasza siódma ekstremalna Droga Krzyżowa dla mężczyzn w Starogardzie Gdańskim. Tak sobie myślę, że to nie jest przypadek, że wpieryw jako kleryk pelplińskiego seminarium, a później jako wikariusz tej parafii uczestniczyłem w każdej poprzedniej ekstremalnej drodze krzyżowej.

Ta jednak jest inna, bo jeszcze kilka miesięcy temu nie pomyślałbym, że będę miał ten zaszczyt (tak, to odpowiednie słowo!) tworzyć rozważania tej drogi krzyżowej razem z panem Piotrem. A zarazem towarzyszyła mi wielka obawa, czy dam radę, czy się nie będę tu wymądrzał, a tego bardzo nie lubię u siebie i innych...

Wiele się dzieje na świecie i w Kościele – będziemy do tego nawiązywać. Cieszę się jednak, że pośród tych wszystkich zawirowań na świecie i w Kościele w tych naszych rozważaniach jest dużo nadziei, która płynie z zapewnienia Jezusa: „A oto Ja jestem z wami przez wszystkie dni, aż do skończenia świata”.

Dużo też w naszych rozważaniach osobistych rozmyślań, tak od serca. Jest też świadectwo, czyli – tak jak to napisałeś panie Piotrze – *samo życie, a nie prezentacja poglądów jednego albo drugiego mądrali, którzy się czegoś naczytali i teraz szpanują na drodze krzyżowej.*

Chcemy wyruszyć na kolejną Drogę, by napełnić się nadzieją, otworzyć swe serca i jeszcze bardziej zaufać Temu, który jest z nami aż do skończenia świata!

P. Piotr Duszyński:

Dobry wieczór.

Tak, wiele dzieje się na świecie i w Kościele... Na przykład w Starogardzie Gdańskim współautorem rozważań do ekstremalnej drogi krzyżowej jest młody wikariusz...

Tak, też mam takie przekonanie, że nie jest to przypadek. Z tego miejsca przede wszystkim chcę podziękować Księdzu Tomaszowi Huzarkowi za wielki wkład pracy przez te wszystkie lata, za cierpliwe znoszenie moich prowokacji, za to, że mi otworzył oczy na wiele spraw i poszerzył moje horyzonty.

Ku memu nieustającemu zdumieniu nasze coroczne spotkania stały się już tradycją, zobowiązującą do refleksji i traktowania z największą powagą naszych pragnień, intencji, pytań, wątpliwości, przemyśleń. A ożywienie – odrodzenie Kościoła nie dokona się bez krytycznej refleksji.

Bardzo się cieszę, że ksiądz Marcin podjął wyzwanie i wniósł świeży powiew. Moim zdaniem wywiązał się znakomicie, ale ostatecznie to Wy osądzicie.

Mimo, że dotychczasowa forma Kościoła bezpowrotnie odchodzi w przeszłość – czasem z wielkim hukem – to odwaga i zaufanie, jakim mnie kiedyś obdarzył Ksiądz Grzegorz, pozwalając na tak nietuzinkowe potraktowanie tradycyjnego przecież nabożeństwa, były również opatrnościowe i nieprzypadkowe.

Nasze wyjście – które zaraz nastąpi – w ciemność, trud i wysiłek jest dla mnie metaforyczną realizacją wezwania papieża Franciszka do wstania z kanapy – wygodnej ławki w kościele i wyjścia do świata – takiego świata, jaki jest, gdyż właśnie Chrystus puka. Puka od środka, aby wyjść.

Ks. Marcin prosi o wstanie i prosi wszystkich o modlitwę

Stacja I

Jezus w Ogrodzie Oliwnym.

Kłaniamy się Tobie Panie Jezu Chryste i błogosławimy Ciebie

PD

Opuszczenie i zostawienie Jezusa w tak dramatycznej chwili wielkiego przełomu przez ludzi, którzy Mu cały czas towarzyszyli, wspierali, byli przez Niego formowani.

BYLI APOSTOŁAMI – najwierniejszymi z wiernych i nagle Go opuszczają.

Jednym z aspektów kryzysu Kościoła w Polsce jest wielka liczba odejść od kapłaństwa – niespotykana wcześniej. Mamy największą liczbę odejść z kapłaństwa w Europie. W skali światowej jesteśmy na drugim miejscu, po USA. Rocznie odchodzi 30–40 księży, również znani i cenieni. Niepokojące są również samobójstwa wśród księży i kleryków. Okazuje się, że problem dotyczy różnych miejsc w Polsce i duchownych w różnym wieku, o różnym doświadczeniu kapłańskim.

Dlaczego tak się dzieje? Poniższe uwagi są refleksjami badacza problemu ks. Jacka Prusaka – jezuitę: I tak ciekawym wątkiem, o którym mówili sami księża, którzy zdecydowali się porzucić kapłaństwo, jest pewna bariera, jaką niegdyś stwarzał pontyfikat Jana Pawła II. Niektórzy myśleli o odejściu od dawna, lecz nie byli w stanie podjąć takiej decyzji za życia polskiego papieża. Mieli poczucie, że to jest osobista zdrada Wojtyły. Gdy zmarł, było to dla nich trochę jak śmierć rodzica, którego się teraz już swoją decyzją nie zrani.

Innym czynnikiem są zmiany jakie zaszły w społecznej percepcji księdza jako pośrednika między Bogiem a ludźmi oraz osoby publicznego zaufania. Prywatyzuje nam się wiara, a księża z tym sobie coraz gorzej radzą, bo religijność można kontrolować, ale wiary się nie da.

Kolejna ważna sprawa, niewystarczająco poruszana – to relacje księży z biskupem, ich zawodowy, formalny charakter. To jest problem z obu stron. Mówią o tym księża skarżący się na biskupa i biskup skarżący się na swoich księży.

Warto też wspomnieć o słabości psychicznej niektórych młodych kapłanów, którzy dodatkowo wystawieni są na coraz większy stres. Poziom akceptacji i zaufania dla księży w społeczeństwie od lat spada. Jest zupełnie inny niż niegdyś, gdy się wychowywali lub gdy myśleli o powołaniu. Ludzie są coraz bardziej wymagający, coraz bardziej krytyczni.

Wielu księży zwraca też uwagę, że model tej formacji seminaryjnej oparty jest na modelu zakonnym, który nijak nie przystaje do realiów życia księdza diecezjalnego. Przygotowanie do kapłaństwa odbywa się w sztucznym środowisku a nie w realiach życia. Po święceniach człowiek ląduje na parafii, gdzie rzeczywistość w niczym nie przypomina tego, co dzieje się na co dzień w seminarium.

MR

Na pewno odejścia są bardziej zauważalne niż trwanie w swoim powołaniu.... Każdego dnia można przeczytać o tym czy innym, który zaprzepaścił swoje powołanie. Zdecydowanie trudniej znaleźć w głównych serwisach internetowych informację o tych, którzy dobrze spełniają swoje zadanie... A jak wielu dziś trwa przy Jezusie. Dobrze, że te uwagi zaznaczone przez ks. Prusaka to tylko jedna strona medalu, jakim jest życie księdza czy każdego powołanego.

Jestem młodym księdzem, niespełna trzy lata po święceniach, można powiedzieć świeżo po formacji w seminarium, zgodzę się z tym, że życie na parafii różni się od tego życia w seminarium. Już od samego początku było inaczej. Zarówno ja, jak i pewnie moi koledzy nie raz wyobrażaliśmy sobie dzień, w którym otrzymamy święcenia i odprawimy pierwszą Mszę. Jednak przyszedł Covid i wszystkie ludzkie wyobrażenia i plany poszły w zapomnienie. Miało być wielu gości, cała rodzina, wielu przyjaciół, impreza... A wszystko wyglądało inaczej, tylko kilka osób z rodziny mogło być w katedrze, podczas pierwszej mszy świętej też tylko kilkadziesiąt osób, obiad w domu, zamiast wielkiej imprezy... W tym czasie trafiłem na tekst o. Lecha Dorobczyńskiego, który zacytowałem w katedrze podczas podziękowań dla biskupa i zgromadzonych. A pisał tak: „Kiedy stajesz przed biskupem, który za chwilę udzieli ci święceń, ogromnie pomocna jest świadomość, że za tobą stoi Kościół–Wspólnota, który poprzez swoją obecność mówi ci: «Nie bój się, jesteśmy z Tobą. Tu i teraz. Ale pamiętaj, że będziemy stali murem za Tobą także przez całe Twoje kapłaństwo». W tym roku kandydaci do kapłaństwa nie odczują tak mocno tej realnej bliskości Kościoła. Będzie stało za nimi tylko kilka osób z najbliższej rodziny. Domyślam się, jakie to może być dla nich trudne...”

To tylko mały obraz tego, że po ludzku – według ludzkich planów – coś faktycznie poszło nie tak, nie tak miały wyglądać te wymarzone dni. Ale z perspektywy czasu widzę, że tak miało być. To

doświadczenie nauczyło mnie co tak naprawdę jest najważniejsze. Nauczyło jak ważna jest świadomość tego, że tyłu stoi za tobą, że stoi za tobą Kościół i Chrystus, który jest wierny swojemu słowu. A to pozwoli wrócić wtedy, kiedy pojawi się ogród oliwny, który pokazuje ludzkie słabości. Tak jak Jezusowi pomagała świadomość, że jest z nim Ojciec. To jest ta druga strona medalu: tak naprawdę nie jesteś sam. Masz na kogo liczyć.

Któryś za nas cierpiał rany

Stacja II

Jezus zdradzony przez Judasza.

Kłaniamy Ci się Panie Jezu Chryste i błogosławimy Ciebie

Judasz. Intrygująca postać. Zawsze jak o nim myślę, to zastanawiam mnie dwie kwestie. Dlaczego Jezus go wybiera, skoro – jak wierzymy – zna serce każdego człowieka? I druga: dlaczego Judasz zdradził, skoro wiedział, że Jezus jest tym, który miał przyjść i zbawić ten świat?

Istnieje wiele hipotez, które próbują odpowiedzieć na te pytania. Czy Judasz zdradził za te marne trzydzieści srebrników? Trzydzieści srebrników to niezbyt wygórowana cena, tyle kosztowała krowa albo niewolnik o bardzo niskiej wartości. Wielu mówi, że te motywy mogły być inne, skoro ta kwota była tak marna. Może od początku był agentem, który miał rozwalić grupę Jezusa? Może zawiódł się na Jezusie, bo inaczej wyobrażał sobie Mesjasza? Może opętał go szatan? Możemy gdybać...

Ale zatrzymajmy się przy tych trzydziestu srebrnikach. Chyba mniej bolałoby, gdyby faktycznie wydał Jezusa za jakąś większą kwotę? Gdyby Sanhedryn musiał więcej się natrudzić i więcej zaoferować, by „kupić” Judasza... Chyba podobnie jest w życiu. Tak często sprzedaję Jezusa za byle co, za chwilę spokoju, za jakąś chwilową przyjemność, za drobiazg... To boli najbardziej. Jezus mówił: „kto w małej rzeczy będzie wierny, ten w wielkiej wierny będzie”. A ja tak często sprzedaję go za bezcen.

A on dalej kocha, mimo że zna moje serce, to za każdym razem daje nową szansę. Chce tylko tego, bym nie zwątpił w jego miłosierdzie, bo jak zwątpię w to, że mnie przygarnia za każdym razem na nowo i mi wybacza, to nie pozostanie mi nic innego tylko pójść w ślady Judasza. „Diabeł – jak mówił papież Franciszek – jest złym płatnikiem, nie jest płatnikiem godnym zaufania. Obiecuje ci wszystko, pokazuje ci wszystko, a na koniec zostawia cię z twoją desperacją samego i się wieszasz”.

Papież Franciszek mówił dalej: „Pomyślmy o tyłu zinstytucjonalizowanych Judaszach tego świata, którzy wykorzystują ludzi. I pomyślmy o małym Judaszu, którego każdy z nas ma w sobie w chwili wyboru – między lojalnością a interesem. Każdy z nas potrafi zdradzić, sprzedać, wybrać własny interes. Każdy z nas może dać się przyciągnąć miłości do pieniędzy lub do innych dóbr albo do

przyszłego dobrobytu. «Judaszu, gdzie jesteś?»». Zadajmy sobie pytanie: «Ty, Judaszu, mały Judaszu, którego mam w sobie: gdzie jesteś?»».

PD

Istnienie „zinstytucjonalizowanego” Judasza (obok tego „małego”) jest dla mnie kluczowe w rozważaniu księdza Marcina. Bo wielokrotnie mieliśmy doświadczenie ze złymi księżmi, złymi duchownymi, co tak bardzo wychodzi na jaw w ostatnim czasie galopującego kryzysu Kościoła. Już w poprzednich naszych drogach krzyżowych padło stare porzekadło „święty Kościół grzesznych ludzi”. Ostatni czas pokazuje, jak bardzo to twierdzenie było naiwne!

Ponieważ okazało się, że w Kościele są całe STRUKTURY ZŁA.

Obecny kryzys Kościoła ujawnia swoje głębsze zakorzenienie. To nie jest tylko korporacyjna solidarność księży, ale coś złego tkwi głębiej – nie tylko w systemie, lecz także w doktrynie. Jako wspólnota jesteśmy na etapie uświadamiania sobie, jak głęboko to sięga. Trzeba będzie nauczyć się odróżniać, co jest doktryną, do której musimy być przywiązani, a co nią nie jest, a umożliwiło pewne dramatyczne działania w Kościele.

Trzy przykłady – tylko trzy!!!!

I tak kiedyś wskazywano nam, gdzie jest przyszłość Kościoła. Po pierwsze miała to być wspólnota Wiara i Światło Jeana Vaniera [który, jak się okazało wykorzystywał seksualnie dorosłe kobiety w ramach kierownictwa duchowego]. Po drugie Wspólnota św. Jana Marie–Dominique Philippe’a; okazało się, że 20 proc. jej duchownych wykorzystywało spowiedź i kierownictwo duchowe do wykorzystywania seksualnego i przemocy duchowej. Po trzecie miejscem odrodzenia Kościoła miała być Wspólnota Błogosławieństw, czyli brat Efraim i jego współpracownicy – wydaleny już ze wspólnoty, którą obecnie reformuje Stolica Apostolska.

Pośrednio więc odpowiadam: „Tu Judaszu jesteś!”

Któryś za nas cierpiał rany

Stacja III

Jezus skazany przez Sanhedryn.

Kłaniamy się Tobie Panie Jezu Chryste i błogosławimy Ciebie

Często zastanawiałem się nad tym Sanhedrynem. Tacy porządni ludzie – ci faryzeusze! Co było z nimi nie tak? I ponownie wracam do mojej myśli rok temu. Oni byli zbyt pewni swoich wyobrażeń o Bogu i Jego Pomazańcu, aby naprawdę otworzyć się na wezwanie. Po prostu już Boga doskonale

znali i wszystko o Nim wiedzieli i dlatego jakiś wędrowny Nauczyciel (w oparciu o tę samą tradycję i księgi) nie będzie im tu burzył ich wiedzy o ZNANYM BOGU.

Tak, świat wokół nas był i jest pełen „znanych bogów”. Ewangelii nie można jednak głosić przy ołtarzach znanych bogów. Znani bogowie nie są żadnymi bogami, są tylko bożkami. Punktem wyjścia głoszenia chrześcijaństwa może być tylko Nieznany, niepojęty, stale zaskakujący nas Bóg, Bóg paradoksu. Bóg, który klęski przemienia w zwycięstwa, a śmierć w życie – Ten, który „wszystko czyni nowe”.

I wracając do kryzysu Kościoła w kontekście wcześniejszych rozważań na temat Judasza. Święty Paweł, wielki teolog paradoksu, mówi: „Gdzie jednak wzmógł się grzech, tam jeszcze bardziej rozlała się łaska”.

Trzeba nauczyć się otwierać sens obecnej sytuacji kluczem wydarzenia wielkanocnego. Kryzys, śmierć nie jest ostatecznym końcem, ale i zmartwychwstanie NIE JEST POWROTEM DO PRZESZŁOŚCI, nie jest restytucją ani reanimacją niegdysiejszego stanu!

JEST OTWARCIEM SIĘ NA NOWY WYMIAR.

MR

Słuchając ciebie, panie Piotrze, od razu przyszedł mi na myśl obraz bardzo często używany przez samego Chrystusa – ziarno. „Jeśli ziarno pszenicy, wpadłszy w ziemię, nie obumrze, zostanie samo jedno, ale jeśli obumrze, przynosi plon obfity”. Już sama natura pokazuje nam, że coś musi obumrzeć, żeby narodziło się coś nowego, nowa jakość. Gdyby rolnik chciał zachować dla siebie ziarno, które zgromadził, gdyby go nie wysiał, gdyby czasem nie zaryzykował, to nie miałby nowego plonu.

W jednej z przypowieści padają słowa: „Z królestwem Bożym dzieje się tak, jak gdyby ktoś nasienie wrzucił w ziemię. Czy śpi, czy czuwa, we dnie i w nocy, nasienie kiełkuje i rośnie, on sam nie wie jak. Ziemia sama z siebie wydaje plon, najpierw źdźbło, potem kłos, a potem pełne ziarnko w kłosie”.

Właściwie to niewiele dzieje się w tej przypowieści, ale można z niej wydobyć kilka ciekawych myśli: Wystarczy tylko wrzucić ziarno w glebę. Zsiew wyda plon niezależnie od tego, co robi rolnik.

Może spać, może czuwać, może martwić się o plony... albo zupełnie zapomnieć o polu... Ziarno wrzucone w ziemię obumrze i zrodzi nowe życie. To daje nadzieję i wzbudza głębszą ufność w moc Bożą i w to, że Bóg troszczy się o wzrost swego królestwa, o rozwój Kościoła. Chyba jesteśmy przyzwyczajeni do myślenia, że wszystko, także w sferze wiary, dokonuje się dzięki naszemu działaniu. Tym samym jesteśmy trochę podobni do wrony ze starej opowieści, która, leżąc na plecach, twierdziła, że swymi szponami podpiera niebo. Miała wrażenie, że gdyby wypuściła chmury ze szpon, świat przestałby istnieć.

My też planujemy, lękamy się o przyszłość Kościoła, szukamy działań, które zapobiegą takiemu czy innemu złemu zjawisku. Faryzeusze też myśleli, że sami „zbawią świat”, że mają nad wszystkim kontrolę. Naprawdę byli zbyt pewni swoich wyobrażeń o Bogu i Jego Pomazańcu, aby naprawdę otworzyć się na wezwanie.

I – żeby mnie dobrze zrozumieć – nie oznacza to w żadnym wypadku zaniechania naszej odpowiedzialności za Kościół, ani tym bardziej nie jest to pochwała bezczynności, czy jak lubią powtarzać Włosi, *dolce far niente*, czyli słodkie nieróbstwo. Nie!!! Trzeba się trudzić dla królestwa Bożego jak Paweł Apostoł czy inni tytani wiary. Przypowieść o ziarnie uczy nas jednak cierpliwości i pokory, czyli tego, czego zabrakło wspomnianym faryzeuszom.

Któryś za nas cierpiał rany

Stacja IV

Piotr wypiera się Jezusa.

Kłaniamy się Tobie Panie Jezu Chryste i błogosławimy Ciebie

MR

Piotr, Opoka, ukochany uczeń i apostoł Zbawiciela, zapiera się swego Pana i Mistrza. Przez trzy lata chodził z Jezusem, widział cuda, znaki, tyle dobra doświadczył... I to wszystko na marne? Czyżby Jezus znów się pomylił? Najpierw Judasz, a teraz Piotr? Co poszło nie tak?

Pamiętam jak razem z ośmioma kolegami z mojego rocznika bardzo czekałem na dzień moich święceń kapłańskich. Sześć lat w seminarium, formacja duchowa, intelektualna, ludzka, pastoralna... Sam dzień święceń poprzedzony – z powodu wielu emocji – nieprzespaną nocą. I Msza święceń, w której jeden moment jest chyba najbardziej emocjonalny: litania do Wszystkich Świętych, podczas której kandydaci do święceń leżą na posadzce, a wszyscy obecni modlą się za nich. W tym czasie bardzo czuje się obecność Boga i dużo obietnic się mu składa, właściwie to w tamtym momencie zrobiliby się wszystko dla Boga, łącznie z oddaniem życia, tak to czułem.

Jakiś czas później – kiedy emocje opadły i „nastąpiła szara rzeczywistość” – zrozumiałem jak bardzo wszystkie te wydarzenia przypominały rozmowę Jezusa z Apostołami zaraz po ostatniej wieczerzy podczas drogi na górę oliwną, kiedy to Jezus powiedział: „Wy wszyscy zwątpicie we Mnie tej nocy...”. A Piotr Mu odpowiedział, że choćby wszyscy zwątpili w Chrystusa, to on nigdy nie zwątpi. Na to usłyszał odpowiedź Jezusa: „Zaprawdę, powiadam ci: Jeszcze tej nocy, zanim kogut zapieje, trzy razy się Mnie wyprzesz”. I co rzekł Piotr? „Choćby mi przyszło umrzeć z Tobą, nie wyprę się Ciebie”. Chyba nie trzeba nikomu przypominać co stało się w niedalekiej przyszłości.

Czego uczy mnie to doświadczenie św. Piotra? Po pierwsze tego, że postawa ZBYTNIJ pewności siebie nie powinna być cechą chrześcijanina. Pewność siebie, uparte trzymanie się przy swoim zdaniu... Ja na tym niejednokrotnie przegrywam i Piotr na tym przegrał. Nie mogę pokładać ufności tylko w sobie, bo prędzej czy później się na sobie przejadę. Ufność mogę za to pokładać w Bogu. I po drugie: warto naśladować żal Piotra po jego upadku... Piotr uwierzył, że miłosierdzie jest większe niż jego grzech i powstał, a później dał największe świadectwo miłości do Chrystusa. Bóg nie wymaga od nas tego, byśmy byli idealni, ale tego byśmy byli wytrwali... Bo będąc wytrwałym z każdego upadku można się podnieść...

PD

Tego doświadczenia św. Piotra, o którym mówisz Księżę Marcinie, nie sposób dla mnie oderwać od papieżstwa, zwłaszcza w kontekście tegorocznego pożegnania papieża Benedykta XVI. Św. Piotr niejako pokazał swoje ludzkie oblicze, gdy upadł, a potem uwierzył w miłosierdzie i dał świadectwo. Wielu komentatorów jest zgodnych co do tego, że największym osiągnięciem papieżstwa w osobie Benedykta była jego abdykacja. To było też pokazanie, że biskup Rzymu jest tylko człowiekiem, i ma do tego pełne prawo. Ratzinger umożliwił uwolnienie urzędu biskupa Rzymu z dwóch ról, w które został przez wieki wplątany: sakralno-ojcowskiej i politycznej.

Jezus powiedział: „Nikogo też na ziemi nie nazywajcie waszym ojcem; jeden bowiem jest Ojciec wasz, Ten w niebie”. Owszem możemy powoływać się na pewne historyczne konwencje, gdy tytułujemy papieża „Ojciec święty”. Rzecz jednak w tym, że ma to bardzo wątpliwe podstawy teologiczne, choć sami papieże rozumieli swoją rolę w „ojcowskich” kategoriach. Paweł VI mówił, że za najważniejszą godność papieża uważa „ojcostwo, które ustaje dopiero z ostatnim tchnieniem”. „Właśnie dlatego nie ma w zwyczaju, by papież odchodził na emeryturę – pisze – bo nie chodzi tu o funkcję, ale o ojcostwo. Nie można przestać być ojcem. Czuję się ojcem całej ludzkości. Można zrzec się urzędu, ale nie można zrzec się stanu. A takim jest bycie ojcem”.

Podobną wizję teologiczną przejął Jan Paweł II. W różnych źródłach odnajdujemy informację, że Jan Paweł II rozważał rezygnację z powodu stanu zdrowia, który znacznie utrudniał pełnienie papieskich zadań. Tym niemniej wizja „ojcowskiego” powołania, któremu trzeba pozostać wiernym pomimo wszelkich trudności, przeważała.

Benedykt XVI zdekonstruował ten sakralny, ojcowski obraz papieżstwa. Abdykował. Wyraźnie przez to pokazał, że biskup Rzymu nie ma w sobie więcej sakralności niż każdy inny biskup.

Żyjemy w czasach przełomu, na naszych oczach odchodzi pewna postać i forma Kościoła. Może też trzeba zaakceptować myśl, że forma papieżstwa, do jakiej jesteśmy przyzwyczajeni, dobiega prawdopodobnie kresu.

Któryś za nas cierpiał rany

Stacja V

Jezus sądzony przez Piłata.

Kłaniamy się Tobie Panie Jezu Chryste i błogosławimy Ciebie

W tej scenie mamy spotkanie dwóch ludzi z absolutnie różnych światów. Z własnego doświadczenia zawsze mi tu przychodzi do głowy analogia spotkania świata człowieka wierzącego z niewierzącym. Jaka tu może być komunikacja? Czy te dwa światy – świat ateizmu i wiary może gdzieś się spotkać i porozumieć? Otóż myślę, że może.

Tak naprawdę wielu ludzie uznaje się za ateistów tylko dlatego, że nie identyfikuje się z określoną formą chrześcijaństwa. Niektórzy „ateiści” tak naprawdę odrzucają jedynie wyobrażenie o Bogu i wierze, które sami stworzyli lub przejęli.

Jezus w scenie z Piłatem nie epatuje władzą, swoją boskością, zadufaniem.

Z zadufaną wiarą zadufany ateizm potrafi dobrze walczyć, w końcu są to bracia bliźniacy w naiwności. Zadufana wiara w tej walce często przegrywa, ponieważ zapomniała o słowach Pawła, że na tym świecie rzeczy Boże widzimy tylko po części, jak w zwierciadle. Natomiast wiara, która nie ma w swoim herbie dumnej pewności, lecz pokorne MOŻE, mimo pozorów słabości w gruncie rzeczy jest nie do pokonania. Owo MOŻE wygląda jak śmieszna proca w rękach Dawida na tle groźnego miecza i zbroi Goliata ateizmu; ale równie niespodziewanie zwycięża. „Ponieważ to, co jest głupstwem u Boga, przewyższa mądrością ludzi, a co jest słabe u Boga, przewyższa mocą ludzi” (1 Kor 1,25).

MR

Przypomniał mi się pewien tekst, który niedawno krążył w sieci: „Muzułmanin, żyd, chrześcijanin i ateista wchodzą do kawiarni... i rozmawiają, śmieją się, piją kawę i stają się dobrymi przyjaciółmi. To nie miał być dowcip. Tak po prostu się dzieje, kiedy ludzie nie są dupkami. Bo tylko od nas samych zależy, jakim uczynimy ten świat”.

Prosty tekst, który jednak dosadnie pokazuje, czego często brakuje po każdej stronie: uważnego słuchania, otwartego umysłu i serca oraz takiego zwyczajnego szacunku... Takiego głębokiego szacunku, jaki dla każdego człowieka i dla jego wolności miał Jezus. Wprawdzie czynił pierwszy krok, proponował prawdę, ale potem czekał na wolną decyzję człowieka. Jezus nie mówił nigdy: musisz, ale mówił: jeśli chcesz.

Pójdźmy dalej, może trochę prowokując: tak naprawdę zarówno wierzący, jak i niewierzący potrzebują siebie nawzajem: „agnostyk nie może zadowolić się tym, że nie wie, czy Bóg istnieje, czy nie, ale musi szukać i odczuwać wielkie dziedzictwo wiary; katolik nie może zadowolić się tym, że ma wiarę, ale musi szukać Boga jeszcze bardziej i w dialogu z innymi uczyć się Boga na nowo w głębszy sposób”. To nie moje słowa. W ten sposób w 2009 roku zwrócił się do dziennikarzy papież Benedykt XVI podczas lotu do Czech, które „słyną” ze swojego ateizmu. Niedawno zmarły papież wielką wartość przykładał do dialogu ze światem niewierzących.

I słowo klucz w jego wypowiedzi: SZUKAĆ. Najgorzej, kiedy człowiek nie szuka i nie zadaje pytań. Odnosząc to do wiary: Muszę uświadomić sobie, że mam prawo mieć wątpliwości w wierze. Pytanie, co z nimi robię. Czy podejmuję wysiłek, by je pokonać? Czy szukam odpowiedzi i gdzie ich szukam? Jeśli czegoś nie wiem lub odczuwam niepokój, to powinienem szukać odpowiedzi u źródła. Wspomniany już Benedykt XVI pisał, że to „w dialogu z Bogiem rozumiemy samych siebie i znajdujemy odpowiedź na najgłębsze pytania kryjące się w naszym sercu”.

Piłat pytał: „Cóż to jest prawda?” Ale czy chciał poznać odpowiedź?!

Któryś za nas cierpiał rany

Stacja VI

Jezus biczowany i koronowany cierniem.

Kłaniamy się Tobie Panie Jezu Chryste i błogosławimy Ciebie

Jezus kochał każdego człowieka... Pomagał, uzdrawiał, uwalniał, karmił ... Ale przerażające jest to jak szybko człowiek o tym zapomniał. Jeszcze chwilę temu wołał: hosanna, a dziś Go biczuje. Po biczowaniu „żołnierze upłótszy koronę z cierni, włożyli Mu ją na głowę i okryli Go płaszczem purpurowym. Potem podchodzili do Niego i mówili: «Witaj, Królu Żydowski!» I policzkowali Go”. Taka jest odплата człowieka za miłość Boga. Ciężko nawet wyobrazić sobie te wszystkie cierpienia zadane Jezusowi.

Wielu także dziś biczuje złośliwym słowem czy gestem, brakiem szacunku, wyzyskiem, oszukiwaniem albo fizyczną agresją. Jezus mówi: „Co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili”. Zło – duże czy małe – wymierzone w drugiego człowieka, niezależnie kim on jest, zawsze jest kolejnym uderzeniem w cierpiącego Chrystusa. Ale też przymykanie oczu na zło będzie jest takim uderzeniem, bo mimowolnie uruchamia samonakręcającą się spiralę zła. Dlatego ważne jest przeciwstawianie się złu, czyli najpierw własnemu grzechowi, dalej nie wolno się nam także zgadzać na żadną formę zła w naszym otoczeniu, w życiu publicznym, w życiu społecznym, politycznym, w Kościele, itd.

Święty Paweł wołał: „Nie daj się zwyciężyć złu, ale zło dobrem zwyciężaj”. Ks. Popiełuszko dopowiadał, że „tylko ten może zwyciężać zło, kto sam jest bogaty w dobro”.

PD

Tak, „zło duże i małe, wymierzone w drugiego człowieka” – to określenie przywołuje ofiary wykorzystywania przez ludzi Kościoła, wołające o pomstę do Nieba. Rany, które zadał Kościół (i nadal zadaje) to są właśnie dla mnie „kolejne uderzenia w cierpiącego Chrystusa”. Zgoda co do tego księżę Marcinie, że, parafrazując Twoje słowa, poprawianie świata (w tym i Kościoła) należy zaczynać od siebie. Bo Kościół Boży, tworzony przez ludzi takich jak wy i ja, będzie zawsze Kościołem ranionym i raniącym.

Gdybym stwierdził, że nasz święty katolicki Kościół już tu na ziemi jest bez cieni, plam, bez draśnień, ewangelicznie ubogi, wypełniony pokorą i świętością wszystkich swoich członków, nie dający nikomu w niczym powodów do zgorszenia, to od razu podpisałbym akt apostazji, gdyż byłbym pewien, że mam do czynienia z szatańskim trikiem.

Tu na ziemi prawdziwość Kościoła będzie ukryta w podwójnym wymiarze bosko–ludzkim. Czasem zbyt ludzkim. A CZASEM NIELUDZKIM.

Któryś za nas cierpiał rany

Stacja VII

Jezus bierze krzyż na swe ramiona.

Kłaniamy się Tobie Panie Jezu Chryste i błogosławimy Ciebie

W rozmyślaniu nad tą stacją w tym roku, moją uwagę przykuło określenie „bierze krzyż na swoje ramiona”, a nie na przykład „na jego ramiona włożono krzyż”. To określenie wskazuje na jedną zasadniczą cechę: DOBROWOLNOŚĆ. Jezus zgodził się DOBROWOLNIE wziąć krzyż. Wiemy z Ewangelii, że nie musiał. I tak w ślad za tym, nasz akt wiary jest też dobrowolny. Dobrowolnie trwamy w Kościele, targanym skandalami, dotkniętym pogłębiającym się kryzysem.

Sam czasem sobie zadaję pytanie, a coraz częściej to pytanie pada z zewnątrz: No to, dlaczego w tym Kościele jestem? Czy za mało tej kompromitacji, kiedy nie ma miesiąca, gdy wybucha kolejny skrywany skandal? Czy nie widzę, jak to wszystko w galopującym tempie obraca się w ruinę? A ja tu tkwię. DOBROWOLNIE.

Te pytania są coraz bardziej natarczywe, a ja coraz mniej mam ochotę na nie odpowiadać.

Kiedyś Grzegorz Ciechowski napisał niesamowity tekst w czasie głębokiego kryzysu w naszym kraju. Niezwykły. A ja dziś, słuchając tych słów, podkładałam sobie w głowie słowo „Polska” na „Kościół”.

No więc: NIE PYTAJ O KOŚCIÓŁ!!!!

Piosenka „Nie pytaj o Polskę”

MR

Kiedyś pewna uboga kobieta udzieliła kiedyś trafnej odpowiedzi na pytanie, czym jest wiara. Mówiła, że wiara to trzymanie Boga za słowo. Bardzo podoba mi się ta definicja: Trzymać Boga za słowo. A to Chrystus dał nam słowo, że „bramy piekielne Kościoła nie przemogą”. Dlatego wierzę w jeden, święty, powszechny i katolicki Kościół! A w nim pierwszym autorytetem i przywódcą jest nie papież, biskup, ksiądz, czy któryś wierny świecki, ale Jezus Chrystus.

Patrzmy często na Kościół przez pryzmat ludzi, a nie działającego w nim Ducha Świętego. Jeśli będę opierał swoją wiarę tylko na człowieku i na tym co ludzkie, to zawsze się zawiodę. Prędzej czy później... Na każdym ludzkim autorytecie mogę się zawieźć. Ba, ile razy nawet na sobie się zawodzę...

Ale mam tę pewność, że ani nic z zewnątrz (żaden atak, czy fałszywe oskarżenie), ani z wewnątrz (żadna afera, zdrada, czy skandal) nie zniszczy Kościoła, bo tak powiedział Chrystus! Fundament Kościoła pozostanie bez zmian.

Moja dobrowolna miłość do Kościoła jest odpowiedzią na miłość Chrystusa, który zapewne niejednokrotnie zdegradowany moim zachowaniem, nie zatrzasnął przede mną drzwi zbawienia. Zrobił dokładnie odwrotnie. Przez dobrowolne wzięcie krzyża na swoje ramiona szeroko mi te drzwi otworzył. Dlatego myślę, że; że nie ma dla mnie innych miejsc.

Któryś za nas cierpiał rany

Stacja VIII

Szymon z Cyreny pomaga nieść krzyż Jezusowi.

Kłaniamy się Tobie Panie Jezu Chryste i błogosławimy Ciebie

Być może się mylę, ale mam wrażenie, że otoczenie często wmawia nam, że ukazywanie słabości jest jakimś uchybieniem męskości. Ale życie pokazuje, że nikt z nas nie jest herosem, wszyscy za to jesteśmy ludźmi. Bardzo podziwiam biskupa Edwarda Dajczaka, który w lutym zrezygnował z urzędu biskupa diecezjalnego i otwarcie przyznał się, że jednym z czynników takiej decyzji była

jego depresja. Wszyscy jesteśmy tylko ludźmi i czasem najwięksi bohaterowie bywają w biedzie. Głupotą byłoby wtedy odrzucić przyjazną dłoń i dać sobie pomóc.

Chrystus też dał sobie pomóc. Oprawcy widzą, że może nie dojść na Kalwarię, pewnie dlatego do pomocy popychają Szymona. Dlaczego właśnie Szymona, nie wiemy. Ewangelia mówi, że Szymon wracał z pola i „się nawinął”. Ale ja mam takie przekonanie, że chyba nie całkiem przypadkowo znalazł się blisko Jezusa.

Przyjaciół poznaje się w biedzie. Apostołów niestety tu zabrakło, ale Szymon się sprawdził... I chyba tu pojawia się piękna męska przyjaźń, która nie potrzebuje wielu słów, właściwie w ogóle nie potrzebuje słów. Bo to nie jest zwykłe kolegowanie się, ale świadomość, że ja za ciebie wskoczę w ogień, a ty za mnie. Teraz Szymon wskoczył, a za chwilę Jezus odda życie również za niego...

PD

Pójdę dalej tym tropem. Pocięgą jest dla mnie fakt, że Jezus nie niósł swego krzyża zwycięsko, jak jakiś starożytny atleta, ale że pod nim nieraz upadał – tak jak my! Dlaczego tak wielu pobożnych przyjaciół i przywódców duchowych opowiada ludziom, którzy pod swoim krzyżem upadają, straszliwe frazesy, które byłyby raczej stosowne w ustach przyjaciół Hioba czy sentymentalnych „kobiet jerozolimskich”, dlaczego nie przyznają im po prostu prawa do tego, żeby leżeli twarzą w prochu i czuli się bezsilni?

Jezus pozwolił sobie pomóc. I to człowiekowi kompletnie nieznanemu, niejako z obrzeża tego całego wydarzenia, człowiekowi, „który się nawinął”.

A po zmartwychwstaniu to z kolei Jezus ukazuje się jak człowiek z obrzeża, Nieznajomy, „który się nawinął”. Marii Magdalenie jako ogrodnik, uczniom idącym do Emaus jako nieznaną wędrowiec.

Może my też powinniśmy poszukiwać Boga w miejscach i ludziach z obrzeża, niejako peryferii wiary (idących skądś, z jakiegoś „dalekiego pola”, jak Szymon Cyrenejczyk). Kluczowym zadaniem naszych czasów jest przyjęcie, uznanie i zrozumienie ODMIENNOŚCI drugiego nie tylko jako potencjalnego zagrożenia, ale przede wszystkim jako potencjalnego źródła własnego wzbogacenia, dopełnienia – a to zakłada także konieczność naszego spokornienia, pogłębienia i zmartwienia.

Któryś za nas cierpiał rany

Stacja IX

Jezus spotyka niewiasty jerozolimskie.

Kłaniamy się Tobie Panie Jezu Chryste i błogosławimy Ciebie

Na naszych oczach przemija postać Kościoła, jaki dobrze znaleźliśmy, tak jak przemija postać świata. Umierają formy życia kościelnego, do których byliśmy przyzwyczajeni (i które dawniej bez wątpienia były życiodajne), ale dziś ich żywotność się wyczerpała.

Wielu rektorów pustoszejących seminariów duchownych czuje się obecnie pewnie trochę jak syndycy masy upadłościowej. Mają świadomość nieuchronności zmian, dostrzegają błędne decyzje z przeszłości, nie są pewni przyszłości, poszukują po omacku nowych odpowiedzi. Wszystko dzieje się jednak pod czujnym okiem biskupów, którym w większości wciąż się wydaje, że można zawrócić Wisłę kijem.

W spotkaniu z niewiastami jerozolimskimi, Jezus wyraźnie wskazuje, żeby skierować wysiłek na swoje nawrócenie, a na rzewne biadolenie nad tym, co odchodzi.

Chrześcijaństwo, jak mówią jego wielcy prorocy, jest nie za nami, w czasie przeszłym – lecz przed nami, jako zadanie. W dzisiejszej refleksji o Kościele akcent trzeba więc położyć nie na próby ratowania przeszłości, LECZ NA WYSIŁEK BUDOWANIA PRZYSZŁOŚCI.

Piosenka „Jeszcze w zielone gramy” w wykonaniu Darii Zawiałów

MR

Już święty Paweł pisał: „Przemija bowiem postać tego świata”. I w tym kontekście możemy mówić o zmianach w Kościele. Właściwie zmiany nie są niczym nowym, przez 2000 lat wiele się zmieniało i nadal się zmienia. Już sam Jezus wiele zmienił swoim przyjściem i nauczaniem, jego współcześni często nie tak sobie wyobrażali jego ziemską misję. Te zmiany też bardzo bolały. Z reguły – i nic w tym dziwnego – najlepiej nam w tej naszej strefie komfortu.

Zmiany są jednak potrzebne i nieuchronne. Trzeba je dobrze wykorzystać przyjmując to, co one przynoszą. To ten wysiłek budowania przyszłości, o którym wspominał pan, panie Piotrze. I bynajmniej nie oznacza to poddania się, wzruszenia ramionami i powtarzania: co będzie, to będzie. Co więc robić? Matka Teresa z Kalkuty mówiła: „chcesz zmienić świat? To idź do domu i kochaj swoją rodzinę”. To jest chyba najtrudniejsze, zacząć od siebie, od swojego nawrócenia.

Wracając do kwestii powołań i pustych seminariów. Nie trzeba szukać w dalekiej przeszłości. Kiedy w 2014 roku przychodziłem do seminarium, było nas na wszystkich rocznikach 96 osób, z czego 24 na pierwszym. Sześć lat później na moim roku zostało ośmiu, a w całym seminarium 30. Nic więc dziwnego, że mamy wrażenie, że coś się kończy... Ale to dzieje się na naszym podwórku, a Kościół jest jeden – powszechny – i zgoła inna sytuacja jest m.in. w Afryce, o czym daje świadectwo jeden z ojców pracujących tam już kilkadziesiąt lat: „Afryka to kontynent, na którym Kościół jest bardzo dynamiczny, a ludzie bardzo ubodzy. Dzięki temu ludzie pozostają też bardziej wrażliwi na głos Pana wzywającego ich do służby w Kościele. Moim zdaniem – mówił – młodzi w Europie nie słyszą już

powołania, bo ich serca są nasycone. W Afryce dynamiczny jest sam Kościół, wspólnoty chrześcijańskie. Ludzie się modlą, spotykają się. Ale przede wszystkim w Afryce jest też «surowiec» dla powołań. Rodziny się modlą. W takich warunkach łatwiej rozwijają się powołania wśród młodych”.

Więc jeszcze w zielone gramy!

Któryś za nas cierpiał rany

Stacja X

Jezus przybity do krzyża.

Kłaniamy się Tobie Panie Jezu Chryste i błogosławimy Ciebie

„Te ręce, które błogosławiły wszystkich teraz są przygwożdżone do krzyża, te stopy, które tyle wędrowały, by rozsiewać nadzieję i miłość teraz są przytwierdzone do szubienicy”.

Kiedy myślę o krzyżu, to mam przed oczami wizerunek krzyża San Damiano z Asyżu. To ten krzyż, przed którym według tradycji modlił się św. Franciszek i podczas modlitwy usłyszał słowa Chrystusa: „Franciszku, idź i odbuduj mój Kościół, gdyż cały popada w ruinę!”. Ta ikona pięknie obrazuje walkę światłości z ciemnością – czyli to, czego tu na ziemi doświadczamy codziennie. Ale pokazuje też rozwiązanie tej walki, czyli zwycięstwo Chrystusa. Nawet jeśli przybity do krzyża jeszcze na nim wisi – i będzie na krzyżu aż do końca świata, dopóki będą istnieć ludzie, których trzeba będzie zbawić – to już zmartwychwstał. Zwyciężył śmierć.

Dlatego postacie na tej ikonie się radują! Warto na to zwrócić uwagę. Radują się, bo mają nadzieję i wierzą słowom Jezusa, że krzyż to nie koniec. Krzyż jest konieczny, ale nie jest celem, bo krzyż Jezusa to zwycięstwo Boga nad śmiercią! To my jesteśmy u Jego stóp. I to także do nas Jezus kieruje słowa: „idź i odbuduj mój Kościół”. Mamy wiele do zrobienia, bo jak to słusznie zauważył Pascal: „Jezus będzie konał aż do skończenia świata, nie wolno nam spać przez ten czas”.

Skoro źródłem zła jest serce człowieka, to jeśli zmieniłby się człowiek, zmieniłby się i świat.

PD

Dzięki księżu Marcinie za odwołanie do kryzysu Kościoła w historii. A może z Kościołem jest tak jak z naszą wiarą, o czym mówiłem rok temu: czy także nie musi – podobnie jak nasz Pan – wiele wycierpieć, zostać ukrzyżowany, umrzeć – a dopiero potem „zmartwychwstać”?

I może tak, jak nasza wiara, ten cykl musi odbywać się przez całe dzieje?

Kościół jako wspólnota pielgrzymów jest żywym organizmem, a to oznacza, że jest zawsze otwarty, transformujący i ewoluujący. Wobec tego musimy odróżniać każdą konkretną formę Kościoła

w historii od jego formy w wieczności na końcu czasów; oznacza to, że musimy odróżnić Kościół w drodze od zwycięskiego Kościoła w niebie.

Uważanie Kościoła będącego gdzieś w środku swojej historii za jego formę doskonałą i skończoną prowadzi do triumfalizmu, niebezpiecznej formy bałwochwalstwa. Co więcej, jeśli nie oprze się tej pokusie triumfalizmu, może stać się instytucją grzeszną i wojowniczą, która nadużywa swojego wpływu moralnego i duchowego, co pokazały skandale związane z nadużyciami seksualnymi, psychologicznymi, ekonomicznymi i duchowymi w Kościele, zwłaszcza nadużycia i wykorzystywanie najsłabszych i najbardziej bezbronnych.

„Idź, odbuduj mój Kościół” – a dziś On mówi to samo, co powiedział wyczerpanym rybakom: „Spróbuj ponownie, wypłynąć na głębie.”

Spróbować ponownie nie oznacza powtarzania starych błędów. Potrzeba wytrwałości i odwagi, aby opuścić płycizny i wypłynąć na głębie.

Któryś za nas cierpiał rany

Stacja XI

Jezus obiecuje swoje Królestwo żalującemu łotrowi.

Kłaniamy się Tobie Panie Jezu Chryste i błogosławimy Ciebie

Pójdę śladem moich myśli zeszłorocznych, bo za każdym razem zdumiewa mnie ta sytuacja:
ZBAWIENIE ZA DARMO!!

„Dziś jeszcze będziesz ze Mną w raj?”

Jakże to tak? Bez rachunku sumienia? Bez wyznania grzechów? Bez pokuty? Bez zadośćuczynienia Panu Bogu i bliźnim?

Sposoby pojednania z Bogiem i wspólnotą Kościoła ewoluowały wraz z całą historią chrześcijaństwa i nie miejsce tu i czas na rozwijanie tego zagadnienia. Dość powiedzieć, że znana dziś forma tzw. spowiedzi usznej została powszechnie wprowadzona przez mnichów iroszkockich dopiero w wiekach VI–VIII, a na przykład absurdalne traktowanie odpustów zostało ukrócone dopiero wystąpieniem Lutra i soborem trydenckim.

To może również powinniśmy się przyjrzeć formie obecnej, skoro i w tej sferze akceptujemy rozwój i ewolucję (Kościół w drodze – zawsze reformujący się).

Wybitny teolog Tomasz Halik uważa, że rachunek sumienia i wyznawanie grzechów stały się „niezrozumiałe i niezręczne – prawdopodobnie dlatego, że także z winy określonej teologii i wychowania religijnego doszło do zniekształcenia pojęcia grzechu”, ludzie w książkowych „rachunkach sumienia” „nie widzą już dziś prawdy o swoim życiu”.

Być może nie trzeba załamywać rąk nad tym, że wiele konfesjonałów jest coraz bardziej pustych. Widocznie owa klasyczna, tradycyjna postać spowiedzi (i przynajmniej, w wielu przypadkach całkiem jałowa) będzie zanikać dalej. Niemało chrześcijan wie przecież albo przynajmniej przeczuwa, że to, co ich oddziela od Boga, jest o wiele głębszą i subtelniejszą, szarą rzeczywistością niż to, co wyliczają tradycyjne „rachunki sumienia”.

Bóg nie będzie nas sądził według owych spisów grzechów i pseudo-grzechów, ale według autentyczności, prawdziwości czy nieprawdziwości naszego życia, według wierności naszemu osobistemu powołaniu.

Nie czarujmy się. To, czego bardzo potrzebujemy i co słusznie będzie od Kościoła coraz bardziej oczekiwane i pożądane – to profesjonalne, cierpliwe i naprawdę uzdrawiające towarzyszenie duchowe (...), ze zrozumieniem i szacunkiem dla wolności i odpowiedzialności każdego, wsparcie na drodze do dojrzałości i odpowiedzialności.

MR

Patrząc od strony spowiednika muszę powiedzieć, że to wszystko nie jest takie zero–jedynekowe. To prawda, że często, a wręcz bardzo często, rachunek sumienia i wyznawanie grzechów stały się dla wielu niezrozumiałe i niezręczne. Ale widzę też, że to tylko jedna strona medalu. Niejednokrotnie siedząc w konfesjonale doświadczyłem wielu budujących spowiedzi i dla spowiadającego się i dla mnie. Czasem czułem się tak mały, do tego stopnia, że to ja powinienem chyba poprosić o spowiedź tę osobę, która przyszła do mojego konfesjonatu, tak była przygotowana i świadoma. To wszystko przypomina mi słowa, które gdzieś usłyszałem jeszcze w seminarium: kapłan na ambonie powinien być jak lew (żeby mówić stanowczo i jaśnie), a w konfesjonale jak baranek. To rozumiem jako „to profesjonalne, cierpliwe i naprawdę uzdrawiające towarzyszenie duchowe (...), ze zrozumieniem i szacunkiem...”, o którym wspominałeś panie Piotrze.

Co jednak robić, żeby nie było tylko niezrozumiałą formalnością, obowiązkiem? Za zgodą mojego przyjaciela, chciałbym podzielić się jego świadectwem nawrócenia, które kiedyś na mnie zrobiło wielkie wrażenie: „Moje nawrócenie, kiedy jeszcze piłem, zaczęło się od strachu, trafiłem na kazania pewnego księdza o egzorcyzmach i tych tematach. Dotarło do mnie, że jest rzeczywiście przestrzeń duchowa, osobowe dobro, ale też i zło. I panicznie zacząłem się bać, bo w głębi serca czułem, że jestem w czarnej dupie, że nie daje rady i wiedziałem, gdzie i jak skończę jak tego nie zmienię. I wtedy poszły jakieś pierwsze spowiedzi, nieudolne, bo cały w mechanizmach uzależnienia, przełomem oczywiście terapia, decyzja, pójście za ciosem, itd. Chciałem z dnia na dzień stać się święty, wszystko wydawało mi się złe, po roku, półtora terapii nadal miałem problemy przy spowiedzi, mega, ale to mega skrupulanctwo, wieczne szukanie w sobie czegoś, co jeszcze można

zmienić, poprawić, spowiedź nie dawała ukojenia itp. Na terapii i spotkaniach terapeuci radzili wręcz odwrotnie, żebym zaczął żyć, odciął się grubą krechą, pokochał siebie itd. I to chyba był przełom. Nagle zaczęło się okazywać, że wiele rzeczy nawet nie są grzechami, że część to stare mechanizmy, zranienia, przyzwyczajenia, skłonności wynikające z życiowych przeżyć i doświadczeń. Zacząłem uczyć się sobie odpuszczać, nie przejmować się, nie zapętląć w obwinianiu o wszystko itp. Dziś już ponad 7 lat abstynencji – cieszę się życiem i udało się pokonać skrupuły. Od substancji uzależniających stronię. Po prostu chcę być sobą i chcę regularnie przystępować do Eucharystii, to mnie wybawiło swego czasu i nie wyobrażam sobie bez tego życia. Ale nadal jestem trochę takim *bad boy'em*, taka natura, tylko już trzeźwym. Cały czas uczę się rozróżniania tego, że dla kogoś coś może być zgubne, dla mnie niekoniecznie i odwrotnie. Czasem pewne rzeczy można ocenić z perspektywy czasu, inaczej się nie da. W nawróceniu z postawy strachu przed Ojcem, który „za zło karze” przeszedłem stopniowo do wdzięczności i radości za krzyż Jezusa i Jego zapewnienie, że już się niczego nie musimy bać i zamartwiać, bo sami nic nie zrobimy, nie zbawimy się. To daje oddech i uczy wolności”.

I to jest ten klucz: Sami nic nie zrobimy, nie zbawimy się. Potrzebujemy Jezusa, który poszedł aż na krzyż. Diabeł nieustannie stara się szeptać ludziom do uszu, że nie mogą przyjść, nawet jeśli by chcieli, ponieważ popełnili ten czy inny grzech. Nie wierz temu nawet przez sekundę. Jezus powiedział: tego który przyjdzie do mnie, nie wyrzucę precz! Mamy Boga, który mówi: wołaj! On nie potrzebuje skomplikowanych modlitw, formułek. Wystarczy mu, że zrobisz pierwszy krok, a On cię poprowadzi. To, że tu dziś jesteś to nie przypadek. Czasem warto zostawić mu ten nasz bagaż na spowiedzi, a czasem potrzeba jeszcze pomocy jakiegoś specjalisty. To może właśnie ten moment, w którym rozpoczniesz ten nowy etap w swoim życiu... Nie ma co odkładać tego w czasie. Tu i teraz jest najlepszy moment, żeby zacząć od nowa. Jeśli ktoś chciałby pogadać, to zapraszam. Może to być spowiedź, może to być zwyczajna rozmowa...

Któryś za nas cierpiał rany

Stacja XII

Matka i umiłowany uczeń pod krzyżem Jezusa.

Kłaniamy się Tobie Panie Jezu Chryste i błogosławimy Ciebie

W życiu, w chwilach pięknych, jak i cierpieniu potrzebujemy solidarności. Maryja, Matka obecna pod Krzyżem, przypomina nam o miłości i wsparciu rodziny, a Jan jest przykładem lojalności wspólnoty. Patrząc na Krzyż można powiedzieć, że chyba dość mała ta solidarność. Ale ta sytuacja przypomina, że tak naprawdę liczy się nie ilość, a jakość. Tam, gdzie stawia się na ilość, a nie na

jakość, korzyści są chwilowe. To wszystko dotyczy również życia duchowego. I chyba też Kościoła jako takiego. Ciągłe słyszy się o statystykach, mniej powołań, mniej ludzi w Kościele. Ale tu też nie chodzi przecież o ilość. Pod Krzyżem było tylko kilka osób, po ludzku sporo tam zabrakło, ale Jezusowi to wystarczyło, żeby zwyciężyć...

To chyba czas, by oddać głos ks. Ratzingerowi, późniejszemu papieżowi, który przed 54 laty mówił: „Z dzisiejszego kryzysu wyłoni się Kościół, który straci wiele. Stanie się nieliczny i będzie musiał rozpocząć na nowo, mniej więcej od początków. Nie będzie już więcej w stanie mieszkać w budynkach, które zbudował w czasach dostatku. Wraz ze zmniejszeniem się liczby swoich wiernych utraci także większą część przywilejów społecznych. Rozpocznie na nowo od małych grup, od ruchów i od mniejszości, która na nowo postawi wiarę w centrum doświadczenia. Będzie Kościołem bardziej duchowym, który nie przypisze sobie mandatu politycznego, flirtując raz z lewicą, a raz z prawicą. Będzie ubogi i stanie się Kościołem ubogich. Wtedy ludzie zobaczą tę małą trzódkę wierzących jako coś kompletnie nowego: odkryją ją jako nadzieję dla nich, odpowiedź, której zawsze w tajemnicy szukali”.

I nie jest to bynajmniej program na upadek chrześcijaństwa. Wręcz przeciwnie, to chyba jedyny najlepszy program na rozwój i wzrost Kościoła... nawet jeśli widzialne owoce dane będzie oglądać dopiero przyszłym pokoleniom!

PD

No to idźmy dalej myślą Benedykta, który mówi o chrześcijaństwie w Europie dzisiaj i jutro jako o mniejszości ALE która nie ma jednak popaść w mentalność getta, mniejszości zamkniętej, lecz ma być mniejszością kreatywną!!!!

Nadchodzą nowe czasy i chrześcijanie muszą analizować znaki czasu, starać się zrozumieć dzień dzisiejszy i to, co nadchodzi, a nie zwracać się z fascynacją ku temu, co minęło.

Przypomnijmy sobie ostrzegawczy przykład żony Lota! Chrześcijanie mają być solą ziemi, a nie słupami soli. Iluż kaznodziejów, oczarowanych przeszłością, stało się martwymi słupami soli albo solą, która utraciła swój smak!

Jeśli Kościół (i różne instytucje, nazywające siebie chrześcijańskimi) ma na względzie przede wszystkim swoje własne instytucjonalne interesy, a chrześcijanie troszczą się tylko o własną wspólnotę – są solą, która straciła swój smak i funkcję. Do niczego się już nie nadają.

A soli nie musi być dużo!!! Skąd się wzięło przekonanie, że chrześcijaństwo ma być masowe? Ja się kiepsko czuję w towarzystwie „przesolonych” chrześcijan (a jeszcze gorzej w towarzystwie „przesłodzonych”).

Owszem – chrześcijaństwo musi być zaproszeniem, propozycją dla wszystkich, a nie ezoterycznym klubem dla wąskiego kręgu wtajemniczonych. Niemniej Jezus był w sposób bardzo realistyczny świadomy tego, że nie wszyscy przyjmą Jego propozycje. Wiedział, że proponuje drogę stromą i niełatwą, na której wytrwają tylko nieliczni. Droga szeroka, wygodna dla masowych pochodów, nie prowadzi do uświęconego życia z Jezusem w pełni, lecz ku śmierci.

Któryś za nas cierpiał rany

Stacja XIII

Jezus umiera na krzyżu.

Kłaniamy się Tobie Panie Jezu Chryste i błogosławimy Ciebie

Prawdziwa ludzka śmierć z prawdziwym ludzkim bólem, krwią, cierpieniem. Istota Wcielenia polega na tym, że Bóg wziął na siebie –przyjął WSZYSTKIE ludzkie biologiczne – medyczne prawa. Mimo że był Bogiem, nie zawiesił ŻADNEGO prawa natury!

To podstawowa teologia chrześcijańska. Konsekwencją tej prawdy są sakramenty – materialne znaki niewidzialnej łaski. Te materialne znaki są w 100% osadzone w prawach natury, mimo że są znakami niewidzialnej łaski.

Stąd konsekrowana Hostia w sensie materialnym w niczym się nie zmienia, mimo że JEST KONSEKROWANA.

Jakież było moje zdumienie, gdy po internecie w czasie pandemii zaczęły krążyć kazania księży (mających się za katolickich) przeciwstawiających się przyjmowaniu Komunii Św. na rękę, bo „przecież Pan Jezus nie może zarażać”. No, myślałem, że niesamowite herezje pierwszych wieków chrześcijaństwa są już dawno za nami.

Równie ciekawe były twierdzenia antyszczepionkowców, którzy twierdzili, że ufają Bogu a nie szczepionkom i dlatego się nie poddają szczepieniom na Covid.

Już widzę ich minę na Sądzie Ostatecznym, gdy Pan Bóg do nich mówi: „NIE UFAMAŁEŚ MI, bo podesłałem ci szczepionkę, stworzoną przez mądrych naukowców, a ty ją odrzuciłeś!”

Księżu Marcinie, co ja się będę mądrył. Jest ksiądz po szkołach i poproszę tak katechetycznie i krótko: Co to znaczy, że Bóg działa na naturze i dlatego bakterie i wirusy nie wiedzą, że mają się trzymać od konsekrowanej Hostii z daleka?

MR

Nawiązując do pana słów przypomina mi się pewnie znana wielu z nas historia, z której można wyciągnąć ciekawe wnioski:

Pewnego dnia zdarzyła się w pewnej wsi powódź. Pewien mężczyzna chcąc się ratować wszedł na dach swojego domu i tam czekał, co będzie dalej. Tymczasem woda podeszła już mężczyźnie do kolan. Wtedy do domu podpłynęła łódź i człowiek z łodzi powiedział do mężczyzny na dachu:

–Wsiadaj do naszej łodzi! Uratujemy cię.

Jednak ten mu odpowiedział:

–Nie trzeba, ja jestem wierzący. Bóg na pewno mnie uratuje!

Łódź odpłynęła, mężczyzna został na dachu. Woda podeszła mu już do pasa i znów przyплыnęła łódź. Ludzie w łodzi znów namawiali go do wsiadania do łodzi, jednak on odpowiedział im to samo co poprzednio i został na dachu. Tymczasem woda sięgnęła mężczyźnie już po piersi. Znów przyплыnęła łódź i ludzie w łodzi krzyknęli:

–Wsiadaj natychmiast! Za chwilę utoniesz!

Jednak mężczyzna odpowiedział:

–Nie utonę! Bóg na pewno mnie uratuje!

Łódź odpłynęła, a mężczyzna utonął. Trafił prosto do nieba i od razu poszedł z pretensjami do Boga. Krzyknął do Niego:

– Dlaczego mnie nie ratowałeś? Przecież ja tak bardzo w Ciebie wierzyłem, tak bardzo Ci ufalem!

Bóg na to odpowiedział mu spokojnie:

– To nieprawda, że cię nie ratowałem. Wysłałem przecież po ciebie aż trzy łodzie ratunkowe, jednak ty z żadnej z nich nie chciałeś skorzystać.

Jeśli chodzi o ten ważny, poruszony przez ciebie, panie Piotrze, problem: musimy sobie przypomnieć, że „choć wierzymy w realną obecność Jezusa w Najświętszym Sakramencie, to Komunię przyjmujemy pod postacią chleba, który zachowuje wszystkie cechy (smak, konsystencję) materialne, dlatego – jak każdy produkt spożywczy – podlega prawom biologii, chemii i fizyki (może się połamać, spaść na ziemię, spleśnieć).

Dlatego chociażby istnieją przepisy liturgiczne dotyczące przechowywania Hostii konsekrowanych, żeby się normalnie (biologicznie, fizycznie) nie zniszczyły. Tabernakulum – oprócz tego, że zaznacza nam w kościele miejsce, w którym znajdują się Postacie Eucharystyczne – musi też spełniać odpowiednie standardy techniczne, np. nie może przepuszczać wilgoci.

Konsekracja, chociaż sprawia, że Jezus jest prawdziwie obecny, to nie unieważnia, nie znosi tych cech materialnych (teologicznie mówimy, że nie znosi przypadłości, chociaż zmienia się istota).

Analogicznie – Jezus Chrystus (Bóstwo i człowieczeństwo nierozdzielnie zjednoczone w Osobie) –

także podlegał prawom ziemskim (był głodny, utrudzony, pobity), chociaż był prawdziwym Bogiem”¹.

To prawda, że Eucharystia jest uzdrowieniem, zwłaszcza dla ducha, a bywa, że i dla ciała. Ale musimy pamiętać, że nie działa to „automatycznie”, to zawsze jest jakiś zamysł Boga, który dla nas często pozostaje tajemnicą. Sam Pan Jezus nie zaraża, ale ksiądz już może to uczynić. Wiara i rozum muszą iść w parze!!! Św. Tomasz z Akwinu nauczał: „łaska bazuje na naturze”. Pamiętajmy o tym i dbajmy o siebie i innych tak, jakby wszystko zależało od nas, a módlmy się tak, jakby wszystko zależało od Boga!

Któryś za nas cierpiał rany

Stacja XIV

Jezus zdjęty z krzyża i złożony do grobu.

Kłaniamy się Tobie Panie Jezu Chryste i błogosławimy Ciebie

Tragedie skłaniają nas do refleksji. Wojna (m.in. na Ukrainie), czy trzęsienie ziemi (jak chociażby ostatnio w Turcji i Syrii) pokazuje, że życie to sprawa poważna. Gdy śmierć uderza z bliska, przed oczami staje inny świat. Wówczas uwalniamy się od iluzji i pojmujemy głębszą rzeczywistość.

Chrześcijanie – tak jak wcześniej apostołowie po tym jak Jezus opuścił ziemię – zaczęli patrzeć wstecz i coraz bardziej rozumieć Jego życie i misję. Zanieśli Jego przesłanie na krańce świata. Tym przesłaniem jest sam Jezus Chrystus, który jest mocą i mądrością Bożą, a naszym ostatecznym przeznaczeniem jest bycie z Nim.

Śmierć i grób nie są ostatnim słowem naszego życia. Przeciwnie, są dopiero początkiem. Sam Jezus nas wcześniej o tym zapewnił: „W domu Ojca mego jest mieszkań wiele. Gdyby tak nie było, to bym wam powiedział. Idę przecież przygotować wam miejsce. A gdy odejdę i przygotuję wam miejsce, przyjdę powtórnie i zabiorę was do siebie, abyście i wy byli tam, gdzie Ja jestem” (J 14, 2–3).

Śmierć i grób dla wierzących stanowią przedsięwzięcie do niekończącej się absolutnej miłości.

Odnosząc to do Kościoła i wiary: „Kościół i jego wiara są chrześcijańskie na tyle, na ile są wielkanocne: umierają i wstają z martwych. Jest wiele postaci zarówno wiary osobistej (wiara dziecięca, wiara jako dziedzictwo ojców, ale i wiara jako entuzjizm konwertytów), jak i tych w historii Kościoła, które kiedyś muszą umrzeć. Czasem śmierć dobrze znanej postaci wiary sprawia, że wierzący przechodzą przez mroki Wielkiego Piątku, mają poczucie, że Bóg ich opuścił. Kto jednak podczas tych ciemnych nocy (prób wiary osobistej, ale i zbiorowych ciemnych nocy wiary) się nie

¹ Nowicka J., *W kościele też można się zarazić*, <https://misyjne.pl/w-kościele-tez-mozna-sie-zarazic-felieton/> (dostęp: 1.03.2023).

złamie, prędzej albo później dostrzeże światło wielkanocnego poranka i dozna przemiany swojej wiary” (T. Halik).

Jak mówił Benedykt XVI: „Ostatnim słowem historii świata będzie zwycięstwo miłości!”.

PD

Na naszych oczach stare formy chrześcijaństwa, katolicyzmu i Kościoła umierają. I naprawdę muszą zostać złożone już do grobu przeszłości. Musimy przejść przez długą dolinę cienia. Nasza współczesna Wielka Sobota będzie jednak trwała długo. To oznacza nieuchronność duchowej niepewności, a nawet zagubienie. Poczucie zagubienia może być czasami jeszcze trudniejsze do zaakceptowania niż samo przemijanie dawnych form. Chciałoby się – być może – znaleźć jakąś czarodziejską różdżkę, która sprawi, że Kościół będzie nowy, świeży i zreformowany. Że będzie miał doskonałych przywódców i teologów, że będzie się cieszył uznaniem i szacunkiem. Że będzie ewangelicznie ubogi, wypełniony pokorą i świętością wszystkich jego członków, nie dający niczym powodów do zgorszenia.

Takiej różdżki jednak nie ma i nie będzie!

Chrześcijańska nadzieja podpowiada nam jednak, że wynik Wielkiej Soboty jest zawsze taki sam: Chrystus prawdziwie zmartwychwstał.

Rzecz w tym, że my chrześcijanie, tej nadziei po prostu NIE MAMY, ale musimy się o nią boleśnie ZMAGAĆ, tak jak zmagali się o nią wielkie postacie Biblii hebrajskiej (Abraham, Jakub, Hiob), jak o nadzieję zmagali się w ciemnościach Getsemani i krzyża Jezus z Nazaretu.

Początek reformy, przemiany, odrodzenia, zmartwychwstania to modlitwa.

W tym kontekście chciałem przypomnieć na zakończenie stary tekst Boba Dylana.

Powstał on do filmu, gdzie w scenie z umierającym szeryfem padają słowa o “pukaniu do nieba bram”
I chyba my powinniśmy nieustannie, uporczywie PUKAĆ DO NIEBA BRAM – o nowy Kościół, nowe chrześcijaństwo, a przede wszystkim o NOWYCH NAS.

Piosenka „Knockin’ On Heaven’s Door” w wykonaniu Guns N’ Roses

Któryś za nas cierpiał rany